

## BLOG

### Przemysław Żurawski vel Grajewski

#### Wyzwania polskiej polityki unijnej drugiej dekady XXI w.

##### Październik 2009

Lata 2008-2009 zamykają pewną epokę geopolityczną w jakiej funkcjonowała Polska od 1989 r. Miała ona swoje podokresy i punkty zwrotne związane czy to z rozpadem ZSRR, czy też z poszerzaniem NATO i UE, ale jej cechami charakterystycznymi były względna słabość Rosji, silna obecność USA w Europie Środkowej w charakterze gwaranta jej bezpieczeństwa i dynamizm europejskiego projektu integracyjnego.

Wiele wskazuje na to, że wraz z rosyjskim uderzeniem na Gruzję w sierpniu 2008 r., rezygnacją USA z rozmieszczenia elementów tarczy antyrakietowej w Polsce i w Czechach oraz przyjęciem Traktatu Lizbońskiego, będącego krokiem w kierunku marginalizacji państw małych i średnich w ramach UE i oparcia jej na systemie dyktand „wielkiej czwórki” (Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii i Włoch), a w praktyce na tandemie niemiecko-francuskim, owe trzy kamienie węgielne poprzedniego systemu uległy erozji. W nadchodzącej dekadzie przyjdzie nam więc działać w zmienionych warunkach i to zmienionych na naszą niekorzyść.

Dziesięć lat to okres długi – ryzykowny dla dokładnego prognozowania. Dość wspomnieć, że 10 lat temu ledwie zaczynaliśmy naszą obecność w NATO, jeszcze bez państw bałtyckich, Rumunii, Bułgarii, Słowenii, a nawet bez Słowacji, obserwując dogasające ognie ostatniej z wojen postjugosłowiańskich i pierwsze strzały drugiej wojny czeczeńskiej, wiodącej Putina do władzy. Czekaliśmy też dopiero na członkostwo w UE w gronie zaledwie sześciu państw kandydujących z grupy luksemburskiej, gdyż helsińska jeszcze nie powstała. Traktat amsterdamski dopiero wchodził w życie, a nicejskiego (nie mówiąc o konstytucyjnym i Lizbońskim) jeszcze nie było. Z tego krótkiego przeglądu widać jak wiele może zmienić się w ciągu 10 lat. Nie ma powodu zakładać, że w kolejnej dekadzie historia zwolni swój bieg.

Czy oznacza to, że pytania o wyzwania polskiej polityki na forum UE w najbliższych 10 latach nie warto zadawać? Nie – choć nie da się na nie odpowiedzieć wprost. To nad czym możemy się zastanowić to nie odpowiedź na pytanie o to jaka powinna być polityka Polski w Unii Europejskiej do roku 2019, lecz próba przewidzenia tego, jakie problemy, stojące obecnie przed Polską i przed UE, zostaną do tego czasu zapewne rozstrzygnięte i jakie warianty owych rozstrzygnięć powinniśmy wziąć pod uwagę, planując nasze przyszłe działania i uwzględniając rozmaite scenariusze nadchodzących wydarzeń. Trudno przewidzieć, jakie to będą rozstrzygnięcia, i które z hipotetycznych dziś scenariuszy się ziszczą oraz jakie nowe wyzwania pojawią się przed nami. Dlatego też nie możemy odpowiedzialnie rozstrzygać o tym jaką politykę na forum UE powinien prowadzić rząd polski tak, by najlepiej służyć interesom Rzeczypospolitej. Możemy jednak wskazać na te czynniki, które będą zapewne stanowić istotny, choć nie wyłączny (będą wszak także czynniki dziś nieprzewidywalne) element kształtowania uwarunkowań politycznych w jakich przyjdzie działać Polsce na forum UE w ciągu najbliższej dekady.

Uczyńmy założenie pierwsze – Unia Europejska przetrwa kolejne 10 lat nie jako zmurszała struktura biurokratyczna o znaczeniu ornamentalno-teatralnym, lecz jako istotna forma politycznej organizacji tej części świata i realne pole rozstrzygnięć ważnych problemów naszego kontynentu. To może się wydać oczywiste, ale pamiętajmy, że mówimy o polityce, która ze swej natury jest dynamiczna. Czyż

w 1929 r. ktokolwiek ośmieliłby się publicznie powiedzieć, że w 1939 r. Liga Narodów przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie, a w 1945 przestanie istnieć? Unia Europejska zapewne istnieć nie przestanie, ale może istotnie zmienić swój kształt. Jest wszak strukturą wielowymiarową. Integracja europejska od czasów Traktatu z Maastricht, a zatem od zaledwie 17 lat, zaprojektowana jest jako proces zachodzący nie tylko w sferze gospodarczej, ale także polityczno-wojskowej oraz w obszarze bezpieczeństwa wewnętrznego i wymiaru sprawiedliwości. Ambicje rozszerzenia kompetencji UE na kolejne dziedziny – obyczajowość, kulturę, kwestie ideologiczno-światopoglądowe, są zaś wyraźne. Jaka jest zatem dynamika zachodzących zmian? W jakich obszarach należy się ich spodziewać? Jakie procesy polityczne mogą zachodzić w nadchodzących latach? Które z nich się wypalą, a które mają tendencję wzrostową? Co z owej dynamiki wynika dla Polski i jak zachodzące przemiany będą oddziaływały na interesy Rzeczypospolitej i możliwości ich realizacji na forum unijnym.

Zacznijmy od rzeczy pozornie najpoważniejszych – Wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa (WPZiB) UE oraz jej wymiaru militarnego – Europejskiej polityki bezpieczeństwa i obrony (EPBiO). Nic poza deklaracjami jej czołowych polityków nie wskazuje na to, by Unia miała stać się mocarstwem militarnym i ośrodkiem woli politycznej. (Ewentualne powołanie urzędu ministra spraw zagranicznych UE niewiele tu zmienia, a jeśli to na gorsze, odbierając polityce unijnej jedyne źródło autentycznej woli politycznej, jakim są interesy państwa sprawującego w danym półroczu prezydencję w tej organizacji). Dotąd na wszelkie kryzysy natury wojennej (Jugosławia, Irak) Unia reagowała pogłębieniem wewnętrznych podziałów, lub wręcz drastycznym pęknięciem, a w najlepszym razie jednomyślnym lęklwym milczeniem (oderwanie Abchazji i Osetii Pd. od Gruzji). Na jej szumnie ogłoszone w 1999 r. 60-tysięczne siły interwencyjne z terminem gotowości w 2003 r. przyjdzie nam jeszcze długo poczekać, póki co kontentując się zdolnościami ekspedycyjnymi na poziomie wzmocnionego batalionu. Jak długo Bruksela będzie w stanie wiarygodnie zapowiadać tworzenie własnych zdolności wojskowych i nie realizować tych zapowiedzi? Sądzę, że w ciągu nadchodzących 10 lat możliwość tego typu gry się wypali i albo trzeba będzie zbudować rzeczywiste zdolności interwencyjne, na co się nie zanosi, gdyż podatnicy europejscy, będący jednocześnie wyborcami, nigdy nie dadzą na ten cel stosownych pieniędzy, albo zrezygnować z publicznego głoszenia tego typu ambicji, by nie narażać się na śmieszność. Polska w tej dziedzinie, powinna zdecydowanie opowiadać się za rozbudową europejskiego potencjału wojskowego. Nie dlatego iżby należało się spodziewać sukcesów w tym względzie, lecz po to by móc się reklamować politycznie jako kraj znajdujący się w czołówce integracji europejskiej. Rzeczpospolita buduje obecnie armię ekspedycyjną na potrzeby NATO i sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. (Osobną sprawą jest pytanie, czy po sierpniu 2008 r. jest to działanie rozsądne). Oddanie do dyspozycji UE kontyngentu interwencyjnego, który i tak jak wszystkie tego typu siły w każdym innym natowskim kraju europejskim (z wyjątkiem pozostającej poza EPBiO Dania i będącą poza strukturami wojskowymi NATO – Francja) musi mieć charakter podwójnego podporządkowania (NATO/UE), nie generowałoby dodatkowych kosztów, a dawałoby tytuł moralny i polityczny do liczenia się z głosem Polski w instytucjach unijnych w innych sprawach. Polityczna słabość UE – tzn. niezdolność moralna do prowadzenia operacji wojskowych na szeroka skalę, nie jest sytuacją dla nas niepokojącą. Siły UE i tak nie będą w stanie prowadzić operacji na większą skalę niż w Kongo, czy w Darfurze i zapewne będą to czynić w odległych od Polski regionach. 1 800 żołnierzy, jacy mogą być wystawieni do tego typu misji, może straszyć milicje plemienne w Afryce, ale dla bezpieczeństwa RP nie ma istotnego znaczenia. Oddana do dyspozycji UE polska grupa bojowa będzie więc rodzajem waluty politycznej, za którą będziemy starali się kupować wpływ na decyzje UE w innych interesujących nas obszarach merytorycznych jej polityk. W tej sytuacji im mniej rzeczywistych operacji wojskowych będzie prowadzić Unia i im będą one mniejsze, tym niższe będą nasze koszty. Oczywiście należy dbać o to, by nigdy nie powstał nawet cień podejrzenia, że Polska hamuje integrację europejską w wymiarze wojskowym. Mimo niewielkiego znaczenia militarnego EPBiO sam proces jej tworzenia jest dla nas korzystny z uwagi na opisaną powyżej możliwość gry, a ostateczny przewidywany uwiąd tego typu ambicji UE, która w ciągu 10 lat będzie zapewne musiała zrezygnować z czynienia z nich jednego ze swych haseł sztandarowych, zdewaluuje wartość naszej „waluty politycznej” w postaci polskiego wkładu wojskowego do europejskiej integracji militarnej, z czym trzeba się liczyć. Praktyczna jej wartość już została zweryfikowana negatywnie w chwili, gdy Polska udzieliła wojskowego wsparcia Francji w prowadzonych pod flagą UE operacjach w Czadzie i Kongo, nie uzyskawszy zrozumienia Paryża dla postulowanego przez Warszawę przyznania MAP Gruzji i Ukrainie. Jest to ważne doświadczenie.

Zależność teoretycznie logiczna (polska solidarność wojskowa w zamian za europejską solidarność polityczną) w praktyce nie zadziałała. Rzeczpospolita będzie więc musiała prowadzić swoją politykę unijną w warunkach zredukowania lub zaniku znaczenia tego instrumentu promowania naszych interesów, jaki mieliśmy nadzieję zbudować w oparciu o EPBiO.

W roku 2011 – pierwszym roku drugiej dekady XXI w. Polska obejmie prezydencję w UE. Będzie to prezydencja o osłabionych kompetencjach, gdyż ich część zostanie przekazana na mocy Traktatu lizbońskiego w gestię czy to Przewodniczącego Rady Europejskiej (zwanego popularnie „prezydentem UE”), czy też Wysokiego Przedstawiciela UE ds. WPZiB („ministra spraw zagranicznych”). Możliwości formułowania polityki zagranicznej UE w ramach priorytetów prezydencji zostaną więc silnie zredukowane. Podobnie stracą na znaczeniu prezydencje naszych sąsiadów z regionu – Litwy, Łotwy, Estonii, Czech, Rumunii, itd. Przestaną być okazjami do intensyfikacji unijnej polityki wschodniej. WPZiB będzie bowiem w gestii „prezydenta” i „ministra spraw zagranicznych” UE, uzależnionych przede wszystkim od „wielkiej czwórki”.

Do roku 2019 Polska zapewne rozwiąże już problem dywersyfikacji dostaw surowców energetycznych. Nastąpi to raczej w oparciu o zasoby kaspijskie (szlak Azerbejdżan-Gruzja-Ukraina-Polska), norweskie, współpracę z Bałtami (Ignalin, most energetyczny) i rozbudowę własnej infrastruktury (gazoport, magazyny gazu), niż dzięki solidarności unijnej w tym względzie. Postulat zbudowania polityki energetycznej UE straci więc dla nas poważniejsze znaczenie. Nie znaczy to, że kwestie energetyczne będą nieistotne. W ciągu nadchodzących 10 lat ceny ropy i gazu na rynkach światowych mogą ulec dalszemu załamaniu, względnie niedoinwestowana rosyjska infrastruktura wydobycia i tranzytu obu tych surowców może ulec daleko idącej degradacji technicznej, bądź też eksploatowane rabunkowo złoża mogą przestać dostarczać surowców w wymaganej ilości, jednym słowem Rosja może znaleźć się w kryzysie gospodarczym, a w ślad za nim także w społecznym i politycznym. Jeśli dojdzie do politycznej eksplozji rosyjskiego nacjonalizmu, osłony przed nim trzeba będzie szukać przede wszystkim w USA i NATO (Jeśli Sojusz zachowa swą spójność, a Waszyngton nie wycofa się z Europy Środkowej) lub własnych (jeśli NATO straci wiarygodność, a Amerykanie głęboko „zresetują” swe relacje z Moskwą). UE, która nie była w stanie poradzić sobie z Serbią Miloševića, nie poradzi sobie także z Rosją, nawet za 10 lat. Jeśli natomiast dojdzie do implozji państwa rosyjskiego i spadku możliwości wpływania Moskwy na swe otoczenie międzynarodowe, wówczas przed polską polityką unijną otworzą się nowe możliwości. Jeśli bowiem Ukraina dobrze wykorzysta ubiegający czas, jeśli na Białorusi upadnie w międzyczasie reżim Łukaszenki lub sam dyktator zacznie prozachodni zwrot w polityce tego kraju, zachodnioeuropejska wola zasłonięcia się przed rosyjskim chaosem może otworzyć drzwi obu tym narodom do UE. Nie wiemy, czy i kiedy to nastąpi. Z takim rozwojem wydarzeń należy się jednak liczyć. W roku 2019 cały proces zapewne nie będzie jeszcze ukończony, a zatem w wypadku zaistnienia takiego scenariusza wydarzeń rola Polski we wspieraniu europejskich ambicji Ukrainy i Białorusi będzie oczywista i poważna. Wyzwanie to powinno jednocześnie stanowić pole ścisłej współpracy z Litwą i Łotwą (Białoruś) oraz z Rumunią, Słowacją i Węgrami (Ukraina). Niestety nie wiemy, jakie rządy będą w tych krajach i jaką będą prowadzić politykę. Jaki będzie stan sporów słowacko-węgierskich, czy rumuńsko-ukraińskich, które dziś istnieją. Czy utrzyma się sojusz Pragi i Warszawy? Złamanie przez Węgry Gyurcsany’ego solidarności środkoeuropejskiej czy to w polityce energetycznej (porozumienie z Rosją w sprawie magazynów gazowych na Węgrzech z 2006 r.), czy w staraniach o zniesienie wiz do USA wskazuje, że realna wspólnota interesów nie musi w praktyce politycznej przekładać się na współdziałanie na rzecz ich realizacji.

Kwestia przyszłości Mołdawii zapewne rozstrzygnie się szybciej, gdyż jest to kraj niewielki, a siła przyciągania unijnej Rumunii w perspektywie najbliższych 10 lat może okazać się rozstrzygająca. Tak czy inaczej do roku 2019 Warszawa powinna zbudować ścisły sojusz polityczny z Bukaresztem i wzajemnie wspierać swoje polityki wschodnie na forach unijnych. Gra jest warta świeczki, szczególnie zważywszy na fakt, iż Rumunia jest drugim co do liczby ludności (po Polsce) nowym państwem członkowskim UE.

Dotychczasowe doświadczenia wskazują, iż płynącą po wodach atlantyckich nawał europejskiej polityki zagranicznej najsilniej kołysać mogą Niemcy. To od postawy Berlina zależy czy tradycyjny francuski antyamerykanizm (obecnie tłumiony przez Sarkozy’ego, ale przecież funkcjonujący nad

Sekwaną od czasów generała de Gaulle'a i stanowiący część francuskiej tradycji politycznej) będzie miał charakter snobowania się Paryża na rolę, jaką odgrywała ta stolica w XIX stuleciu, czy też zostanie podniesiony do miana elementu oficjalnej tożsamości europejskiej, jak w chwili amerykańskiego uderzenia na Irak, przeciw któremu protestowało trójprzymierze Francji, Niemiec i Rosji. Jeśli Niemcy powrócą do polityki Schrödera (antyamerykanizm okazał się tam skuteczną strategią wyborczą, należy się więc liczyć z jego nawrotami), rozbiją jedność unijnej polityki zagranicznej. Rosja, przez swoje inwestycje łączące ekonomicznie Berlin z Moskwą (Gazociąg Północny, Opel), będzie popychać RFN w tym właśnie kierunku. Antyamerykańska Unia Europejska będzie musiała być prorosyjska, a wówczas pęknie jak w 2003 r. Cokolwiek będzie przedmiotem sporu – Irak, Tajwan, czy przysłowiowe Pernambuco – miejsce Polski będzie nie u boku Niemiec i Rosji przeciw USA, lecz wraz z państwami bałtyckimi, Rumunią i Gruzją, a miejmy nadzieję, że także z innymi sąsiadami z regionu, u boku Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Czy za 10 lat staniemy wobec takiego wyboru nie wiemy, ale nie możemy tego wykluczyć. Oczywiście możliwy jest i wariant odwrotny – amerykańsko-rosyjski sojusz przeciw Chinom, Iranowi, czy Talibom, któremu przyklasną państwa „starej” UE, ale wówczas nie będzie dla nas ratunku. Wszak najlepsze stosunki amerykańsko-rosyjskie były w Jałcie.

Dzisiejsza Unia Europejska 27 państw, czy też raczej jej narody (bo nie chodzi tu wcale o rządy, lecz właśnie o dominujący ogląd świata w oczach obywateli poszczególnych państw) podzielone są głęboko i wyraźnie, a osią tego podziału jest percepcja zagrożenia. Narody Europy Środkowowschodniej obawiają się Rosji, co inspirowało ich proamerykanizm. Głównym problemem narodów południowo-zachodniej części UE jest zaś demograficzny nacisk muzułmańskich imigrantów i wojujący islam. Interwencje zbrojne USA w świecie muzułmańskim (przy wszystkich zastrzeżeniach co do ich sensu, sposobu ich prowadzenia i podstaw moralnych) odbierane zatem były przez istotną część opinii publicznej w nowych państwach UE jako demonstracja woli i możliwości działania głównego gwaranta bezpieczeństwa międzynarodowego, jakim dla narodów tej części naszego kontynentu wciąż jest Waszyngton, w „starej” UE natomiast jako niebezpieczne igranie z ogniem, prowokujące odwet, którego ofiarami mogą stać się Europejczycy – jak w Madrycie w 2004 r. Ten podział wewnątrz Unii może się nasilać zależnie od zachowania Rosji, skali napięć wokół problemu imigrantów muzułmańskich w Europie Zachodniej i terroryzmu islamskiego oraz polityki Stanów Zjednoczonych. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, jaki będzie jego poziom w nadchodzących 10 latach i wobec jakich problemów z tym związanych stanie polska polityka unijna. Bieżąca linia postępowania, przyjęta przez administrację Obamy, pozwala domniemywać erozję znaczenia Waszyngtonu jako stabilizatora naszej części świata. UE nie jest w stanie zastąpić go w tej roli.

Konflikt z wojującym islamem może natomiast wpływać na ewolucję postaw światopoglądowych zachodnich Europejczyków. Poprawność polityczna i hasła społeczeństwa wielokulturowego i wielorasowego, stowarzyszone z płonącymi przedmieściami Paryża i bombami w londyńskim, czy madryckim metrze, mogą się okazać nie do utrzymania. Akty agresji ze strony przedstawicieli innej religii, dokonywane pod sztandarem jej głoszenia, mogą zmienić stosunek Europejczyków do własnej religijności. Wszystko to wpłynie zaś na sposób postrzegania Polski, widzianej często jako ultrakatolicki kraj konserwatystów. Innymi słowy nie wiemy, czy za 10 lat kultura permissywnego moralnego i hedonizmu zwanego samorealizacją, będzie nadal pod lewicowymi sztandarami dominować w dyskursie publicznym Unii Europejskiej, czy też Europa zagrożona w swym wolnościowym fundamencie kulturowym, mającym źródła w nieznającym ceszaropapizmu chrześcijaństwie łacińskim, odzyska swoje dawne wirtue – dzielność i uzna wartość własnej kultury za rzecz godną obrony, a zatem i ofiar. Stosownie do rozstrzygnięcia w tym względzie Polska w UE albo będzie z wysiłkiem broniła autonomii swych praw w zakresie kultury, obyczajów i religii, albo też UE zrezygnuje z rozszerzania swych kompetencji na te sfery życia, pozostawiając je w gestii poszczególnych państw i narodów.

W ciągu najbliższych 10 lat rozstrzygnie się zapewne spór o bardziej liberalny, czy też bardziej socjalny kształt systemu gospodarczego UE. Teoretycznie w perspektywie dekady – do roku 2014 będziemy brali czynny udział w podejmowaniu decyzji w tym zakresie w oparciu o wzmacniający naszą skalę wpływu system nicejski, a do 2017 r. będzie funkcjonował mechanizm z Joanniny. (Praktycznie – biorąc pod uwagę długotrwałość unijnego procesu tworzenia prawa, obecnie zgłaszane

inicjatywy są już ostatnimi, których finał ma szansę nastąpić w ramach starego – nicejskiego systemu decyzyjnego). Po tej dacie, jeśli nic się nie zmieni w obecnych ustaleniach (co notabene wydaje się mało prawdopodobne – taki 10-letni marazm koncepcyjny w zakresie reformowania UE byłby ewenementem), być może utracimy ok. 50% naszej relatywnej siły w stosunku do Niemiec i ok. 40% w stosunku do Francji – dwóch krajów rdzenia UE o najbardziej rozbudowanej opiece socjalnej i największej liczbie ludności. Klasa polityczna obu tych państw stoi obecnie przed wyborem – czy ratować konkurencyjność swych gospodarek w stosunku do bardziej liberalnych i/lub dysponujących tańszą siłą roboczą, względnie wolnych od renty korupcyjnej gospodarek nowych państw członkowskich oraz Wielkiej Brytanii, Irlandii i krajów skandynawskich poprzez narzucenie im – oczywiście pod hasłem europeizacji – własnego systemu (ujednoczenie podatków w UE, jednolita płaca minimalna, Europejska karta socjalna), czy też poprzez namówienie własnych wyborców do rezygnacji z części przywilejów. Raczej nietrudno przewidzieć, który z tych sposobów będzie wypróbowany najpierw. (Znamy już retorykę tego starcia. Pamiętamy hasła „dumpingu socjalnego” i „polskiego hydraulika” jako konkurenta na rynku pracy w „starej UE”). W ciągu najbliższych 10 lat kwestia ta zostanie jednak już zapewne rozstrzygnięta. Zależnie od tego, jakie rozstrzygnięcie zapadnie, Polska będzie musiała albo podtrzymać przyjęty (czy raczej deklarowany) system liberalny, albo burzyć krępujący nasz rozwój gospodarczy nadmiar europejskich regulacji socjalnych. W pierwszym wypadku będzie występować jako wzorowy kraj członkowski, pozostający w głównym nurcie integracji, w drugim jako krnąbrny „koń trojański amerykańskiego myślenia o gospodarce”. (Oczywiście USA z Obamą na czele mogą w międzyczasie przestać być synonimem liberalizmu gospodarczego).

Należy wątpić by w perspektywie kolejnych 10 lat udało się utrzymać dotychczasowy model Wspólnej Polityki Rolnej UE. Jest ona od dawna krytykowana z uwagi na jej potężne koszty (50% budżetu Wspólnot) i liczne nonsensy ekonomiczne. Jej zniesienie dałoby polskim rolnikom przewagę w stosunku do farmerów zachodnioeuropejskich. Odkąd jednak na polską wieś zaczęły trafiać dopłaty bezpośrednio z Europejskiego Funduszu Orientacji i Gwarancji Rolnej nikt raczej nie zaryzykuje ogłoszenia tego typu programu polskiej polityki unijnej, jeśli nie chce popełnić samobójstwa politycznego w oczach licznej rzeszy wyborców, stanowiących ok. 38% ludności kraju. W tym zakresie Polska powinna zatem domagać się przestrzegania zasady równego traktowania farmerów zachodnioeuropejskich i rolników polskich. Za 10 lat pojęcia „starej” i „nowej” Unii stracą sens (przynajmniej obecny) i utrzymywanie różnic między europejską „15” a akcesyjną „10” krajów, które do niej przystąpiły w 2004 r. będzie nie do usprawiedliwienia.

Istotnie zmienić się może uwarunkowanie stosunku Polski do europejskiej polityki regionalnej. Nie możemy spodziewać się sukcesu na skalę Irlandii sprzed kryzysu, wskazywanej jako przykład skuteczności tejże polityki. Polska ma 10 razy więcej ludności niż Zielona Wyspa. Językiem, w którym rozmawiają ludzie w domach i na ulicach nie jest język angielski – lingua franca światowego biznesu. Nie mamy 40 milionów Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, z których liczna rzesza gotowa byłaby do zainwestowania swoich kapitałów w „starym kraju”. By zachować stosowne proporcje, amerykańskich Polonusów powinno być zresztą 400 milionów. Możemy jednak, jak Irlandczycy, stworzyć jasne reguły inwestycyjne, przyciągnąć obcy kapitał, ulokować fundusze europejskie w kształcenie własnych fachowców i starać się zachować prężność demograficzną. W połączeniu z funduszami przekazywanymi Polsce w ramach europejskiej polityki regionalnej powinno to dać nam w perspektywie omawianych 10 lat istotny impuls rozwojowy i zmniejszyć wydatnie nasz dystans w stosunku do „starych” państw UE. Jeśli tak się stanie, polskie wsparcie na rzecz rozszerzenia Unii na wschód – o Białoruś i Ukrainę, obok wymiaru politycznego, zyska także wymiar materialny w postaci gotowości dzielenia się owymi funduszami z nowymi państwami poszerzonych Wspólnot, czy wręcz dołączenia do grupy płatników netto na rzecz naszych uboższych sąsiadów. Inaczej będzie brzmiał głos Warszawy jeśli będzie mogła powiedzieć – żądamy otwarcia się Unii na Kijów i Mińsk i deklarujemy gotowość współfinansowania tego procesu, inaczej zaś brzmi dziś, gdy polskie postulaty można sprowadzić do wezwania „Otwórzcie Unię na Ukrainę i niech podatnicy «starej» UE za to zapłacą”. Nie wiemy jednak, czym będzie europejska polityka regionalna w kolejnej dekadzie. Decyzje co do jej przyszłego kształtu zapadną zapewne wcześniej niż za 10 lat i podobnie jak w sporze o Europę wolnorynkową (liberalną), czy etatystyczną (socjalną) tak i w tym wypadku do roku 2017 będziemy grać o korzystne dla nas rozstrzygnięcia w oparciu o system nicejski (z

Joannina), potem zaś znacznie osłabną nasze możliwości działania. W ciągu najbliższych 10 lat rozstrzygnie się jednak czy Bruksela będzie przeznaczala więcej funduszy na politykę regionalną (co byłoby z korzyścią dla Rzeczypospolitej), czy też na badania i rozwój, w którym to wariancie środki unijne będą kierowane do wiodących ośrodków naukowych Unii, a zatem do jej „starych” państw członkowskich – dodajmy od razu, że ludniejszych, a zatem silniejszych od Polski i jej środkowoeuropejskich koalicjantów w potencjalnych głosowaniach na ten temat w Radzie UE.

Za 10 lat Polska będzie zatem zapewne gospodarczo silniejsza tak w sensie bezwzględny w stosunku do jej stanu dzisiejszego, jak i relatywnym w stosunku do obecnych „starych” państw UE, do których skróci dystans, będzie posiadała klasę polityczną o znacznie większym doświadczeniu gry na forum unijnym, będzie miała za sobą walkę o nowy kształt unijnych polityk: regionalnej, rolnej, badań i rozwoju i przede wszystkim rozstrzygnięty spór o wolnorynkowy, czy też etatystyczny charakter samej Unii. Nie znamy tych rozstrzygnięć, ani wyzwań, przed jakimi Rzeczpospolita może stanąć na Wschodzie i w obliczu pogłębiających się wewnątrzunijnych podziałów na północny-wschód i południowy-zachód. Nie znamy instrumentów, jakimi będzie dysponowała – systemu podejmowania decyzji w Radzie UE (lizboński, czy jego następcy), ani polskich zdolności koalicyjnych, czy też możliwości współfinansowania polityk europejskich. Nie możemy także przewidzieć meandrów polityki niemieckiej, a zatem i stanu relacji transatlantyckich, ani stosunków w czworokącie USA-UE-Rosja-Chiny. Od tych wszystkich czynników oraz innych, dziś nieprzewidywalnych, zależeć zaś będzie polityka państwa polskiego na forum Unii Europejskiej Anno Domini 2019.

**dr Przemysław Żurawski vel Grajewski**, analityk, adiunkt na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologii Uniwersytetu Łódzkiego, absolwent Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ. Profesor wizytujący Białoruskiego Europejskiego Uniwersytetu Humanistycznego w Wilnie. Zajmuje się wspólną polityką zagraniczną i bezpieczeństwa UE; autor książek i licznych artykułów z tej dziedziny.